



**„To był mój obywatelski
obowiązek...”**

wspomnienia z lat 1935-1945

**Rozmowa z Ryszardem Szypulskim - żołnierzem
Batalionów Chłopskich**

Zredagowali:

Bartosz Lewandowski
Wojciech Patronowicz

Lublin, 2005

Jak wyglądało pańskie dzieciństwo i okres przed wybuchem wojny? Czy już wtedy wykazywał Pan jakieś militarne skłonności i zamiłowanie do „szabelki”?

Oj tak. Od najmłodszych, dziecięcych lat interesowałem się wojskiem i orężem. Na początku dość często majstrowałem sobie broń - ot choćby szabelkę z drewnianego patyka. Ogromnego przeżycia doznałem w 1935 roku, kiedy zmarł Marszałek Józef Piłsudski. Wtedy to, będąc sześciolatkiem pełniłem nawet wartę honorową przy jego symbolicznym grobie - brzoźowym krzyżu postawionym w pniu najpiękniejszego i najdosjójniejszego w lesie dębu. Po śmierci Marszałka stawiano takie swego rodzaju pomniki w każdej niemalże miejscowości - nie zabrakło go także w mojej rodzinnej wiosce na Podlasiu. Także w szkole podstawowej często śpiewaliśmy pieśń: „To nieprawda, że Ciebie już nie ma ukochany Marszałku Piłsudski”. I to zrodziło we mnie ogromny patriotyzm, ogromne uczucie do Ojczyzny, zamiłowanie do wojska i polskiej tradycji oręża, tym bardziej, że jeśli chodzi o militaria i działania wojenne, to miałem na ich temat dość duże wiadomości, gdyż ojciec był Legionistą, biorącym udział rzecz jasna w I wojnie światowej. Bardzo często zadawałem mu z tej racji pytania. No niestety, nie zawsze chętnie udzielał mi na nie odpowiedzi, ale i tak cały czas męczyłem go uparcie, bo chciałem jak najwięcej wiedzieć o Wojsku Polskim, o życiu na froncie, o działaniach wojennych. No i niestety niedługo trzeba było na nie czekać.....

Co ze sławetnego Września 1939 roku zapamiętał Pan najbardziej? Ma Pan jakieś szczególne przeżycia z nim związane?

Trudno mi powiedzieć, bo miałem wtedy zaledwie dziesięć lat. W sumie los i przypadek zrzucił, że zostałem włączony w tą potężną machinę zbrojną w czasie okupacji. Ale mimo wszystko Wrzesień 1939 przeżywałem i to mocno. Pamiętam kiedy wykonywałem jakąś pracę na polu, a tu w odległości nie dalszej niż 0,5 – 1 km wybuchaly zrzucane z samolotów bomby. Utkwił mi w pamięci 17 września – dostaliśmy cios w plecy i Sowieci wkroczyli na nasze tereny. W pobliskim kościele schronili się nasi żołnierze z rozbitych już jednostek. Kiedy zobaczyli wkraczających żołnierzy Armii Czerwonej rozpoczęli ucieczkę. Wtedy Sowieci zaczęli strzelać do nich jak do kaczek, zabijając niemalże wszystkich. I to miał być przyjaciel, który pomoże w walce z hitlerowcami..... Co się okazało? Że Stalin wspólnie z Hitlerem podpisali tajny pakt i dokonali w praktyce czwartego rozbioru Polski.....

Wielu świadków wydarzeń 1939 roku (wśród nich był m.in. Władysław Szpilman i Jan Nowak Jeziorański) wspomina, kiedy pierwszy raz zobaczyło żołnierza niemieckiego. W jakich okolicznościach Pan pierwszy raz zetknął się z mundurem wrogiej armii?

Pewnego dnia wybrałem się z rodzicami do miejscowości Parczew (w naszym województwie). To było miasteczko handlowe. Przyjechaliśmy tu zwyczajnie, po zaopatrzenie. Przechodziłem małą, wąską, spokojną uliczką i w pewnej chwili przed oczami przemknęła mi sylwetka oficera Gestapo, który stanął, popatrzył się na mnie, a następnie wyprzedził szybszym krokiem, po czym wyjął z kabury pistolet i na moich oczach zastrzelił dorosłego mężczyznę. Okazało się, że był to sklepikarz pochodzenia żydowskiego. Dlaczego Niemiec zrobił to w ten sposób, trudno w tej chwili powiedzieć. Być może chciał mnie w ten sposób zastraszyć.... W każdym bądź razie to zdarzenie do dzisiejszego dnia jest w mojej głowie. Wtedy po raz pierwszy w sumie ujrzałem niemiecki mundur. Bardzo głęboko to przeżyłem.

A jak wyglądały pierwsze miesiące okupacji?

Terror, przede wszystkim terror. Okupant, zajmwszy już nasze tereny, wprowadził swoje rygory,

wprowadził swoje prawa, wprowadził swoją administrację, ale przede wszystkim wprowadził ogromną dyscyplinę, a za jakiegokolwiek wykroczenia groził karą śmierci. To było straszne. Wszystko to przeżywałem, będąc na dodatek bardzo młodym chłopcem. W chwili wybuchu wojny, miałem zaledwie 10 lat.....

Czy od początku myślał Pan o przejściu do konspiracji? Co sprawiło, że tak też się stało? W jaki sposób znalazł się Pan w oddziale partyzanckim Batalionów Chłopskich? Kiedy to się stało?

Moja droga do znalezienia się w oddziale BCh była bardzo długa i trudna.... Zacznę do samego jej początku. Ponieważ mój ojciec po ciężkich kontuzjach bardzo często chorował i nabawił się wielu schorzeń, ja musiałem zajmować się gospodarką. Pewnego dnia robiłem obrządek w obejściu, pośród dobytku i niespodziewanie znalazłem w szopie karabin z amunicją. Tak bardzo się przestraszyłem, że go nawet nie ruszyłem. Ale wróciwszy do domu o wszystkim opowiedziałem ojcu. Ojciec podobnie jak ja - ogromnie się tym przeraził, gdyż wiadomo było, że za posiadanie broni groziła kara śmierci dla całej rodziny. W ten sposób wywiązała się między nami bardzo poważna rozmowa: co w tej sytuacji robić? Jako, że pomimo młodego wieku byłem już wtajemniczony w tą sprawę, ojciec ustalił to w ten sposób, żebym wywiózł broń do lasu, ewentualnie do jeziora i tam ją porzucił. Ja starałem się go przekonać, że nie trzeba tego robić, że karabin należy zakonserwować i zachować. Powiedziałem wtedy jeszcze „...być może wojna dopiero się rozpoczęła, może ta broń się jeszcze kiedyś przyda.....”. Długo nie mogłem podjąć decyzji. W końcu się zgodziłem. Powiedziałem mu, że już ja się tego podejmę (bo jak wcześniej zaznaczyłem ojciec chorował) i wywożę to na pole, na neutralną miedzę. Na swoją działkę broń wywoziłem w biały dzień, przykryłem oczywiście obornikiem i normalnie, pomimo, że w miejscowości tej byli Niemcy w postaci oddziału SS, wiozłem to jako tak zwany gnój. Wywoziłem ten "pakunek" na pole i tam pod taką rosnącą gruszą na miedzy zakopałem go, odpowiednio owiniętego w jakieś worki i szmaty. Zakopany został dość głęboko z przyczyn oczywistych. Minęły cztery lata, w 1943 roku na naszym terenie już roiło się od partyzantów. Powstały bardzo silne, zbrojne organizacje podziemne, takie jak Armia Krajowa, Bataliony Chłopskie, Armia Ludowa, czy Narodowe Siły Zbrojne. Więc ja powiedziałem ojcu, że idę zobaczyć, w jakim stanie jest ukryta przeze mnie broń. I tak też zrobiłem, pojechałem do miejsca gdzie ją ukryłem, przywiozłem do domu, zamknąłem się w piwnicy i zacząłem doprowadzać karabin do porządku. Okazało się, że przechował się idealnie. W miejscu, gdzie był ukryty, teren był podmokły i to sprzyjało temu, że broń się dobrze przechowała. Kiedy doprowadziłem go do porządku, uznałem, że mogę się już tytułować mianem partyzanta, że już nim jestem, no, ale trzeba było gdzieś należeć, do jakiejś organizacji podziemnej. Na to akurat nie musiałem długo czekać. Kilka dni później do naszej wioski wpadła grupa gestapowców z miejscowości Jabłoń - tam gdzie znajduje się piękny pałac Zamoyskich. Wcześniej do tego pałacyku zjechała grupa SS-manów z Majdanka, ponieważ teren ten był zagrożony przez bardzo aktywne oddziały partyzanckie AK i BCh. Niemcy wpadli do naszej miejscowości bardzo niespodziewanie i zaczęły się aresztowania. Ja przebywałem wtedy na podwórku i tutaj też mnie SS-mani zabrali, ponieważ byłem takiego wzrostu jak Wy w tej chwili - mimo czternastu lat już mierzyłem 1,80 m, więc normalnie aresztowali mnie jako dorosłego mężczyznę. Ze mną było jeszcze kilku innych. Zawieziono nas do aresztu w pałacu Zamoyskich w Jabłoni. Tam byłem bity niesamowicie. Dwa razy do utraty przytomności. Jednak nic im nie powiedziałem o ruchach partyzanckich. Po dwóch tygodniach, gdy wioska zebrała pieniądze na łapówkę dla komendanta Gestapo, wypuścili mnie. Po powrocie do domu, w wyniku pobicia, przez długi czas chorowałem na kręgosłup. Bardzo obawiałem się ponownego aresztowania. Pewnego dnia przyjechali do

mnie koledzy, którzy należeli do konspiracji i zapytali się mnie czy przypadkiem ich nie zdradziłem. Powiedziałem, że Niemcy nic nie wiedzą, jednocześnie błagałem, żeby przyjęli mnie do oddziału partyzanckiego. Oni odparli, że nie mogą mnie teraz zabrać, bo muszę się kurować, a poza tym jestem za młody na służbę. Ja bardzo się tym zasmuciłem, ale nie poddałem się. Znalazłem kontakt z lokalną placówką Batalionów Chłopskich i poszedłem tam na rozmowę z jej komendantem. Przywitałem się z nim i mówię, że chcę być partyzantem. On na to: "Dzieciaków nie przyjmujemy". Ja z kolei dumny odpowiedziałem: "Panie komendancie, ja mam broń... Własny karabin i amunicję". On się tak zmieszał i po chwili rzekł: "Aaa, jeśli masz karabin to inny temat podejmujemy. Umawiamy się, pierwszego kwietnia jest przysięga w Czarnym Lesie i zapraszam Cię, proszę bardzo, złożysz przysięgę". Tak więc 1 kwietnia 1943 roku, zostałem partyzantem BCh. Co kilkanaście dni zbieraliśmy się w tym Czarnym Lesie, gdzie zapoznawaliśmy się z bronią, ćwiczyliśmy musztrę i zachowanie się w polu. Po upływie roku, przyjechali do nie ponownie koledzy z Białej Podlaskiej i powiadają: „Teraz, ponieważ masz karabin, wiemy, że należysz do Batalionów Chłopskich to możemy Cię zabrać do oddziału”. I tym sposobem, wraz z nimi, pojechałem do oddziału. Oddziałem dowodził przedwojenny oficer – kapitan, pseudonim „Marian”- bardzo sympatyczny, oddany żołnierzom dowódca. Przed rozmową z nim, umówiłem się z kolegami, że dołożę sobie dwa lata do wieku. Na wstępie komendant zapytał: „Gwarantujecie za niego?”. „Jak najbardziej, bierzemy Go pod swoją opiekę”. „Ile ma lat?”, „Siedemnaście”, „Siedemnaście..... no, w drodze wyjątku zostajesz przyjęty”. Od kwietnia 1944 roku byłem już w oddziale „Mariana”. Do naszych głównych zadań należała działalność dywersyjna, czyli np. wysadzanie niemieckich transportów kolejowych czy samochodowych. Jednak nie będę się na ten temat rozwodzić, ponieważ nie chcę przedstawiać się jako bohatera, bo uważam, że to był po prostu mój obywatelski obowiązek.

Czy w pańskim oddziale, oprócz dowódcy, byli żołnierze „przedwojenni” i ci walczący we Wrześniu 1939 r.? Jak przedstawiała się struktura wiekowa partyzantów?

No dowództwo składało się głównie właśnie z przedwojennych oficerów, zwykli żołnierze w sporej części również, myślę, że tak w ok. 50%. Jeśli chodzi o strukturę wiekową, to ogromna była przewaga ludzi młodych. To był w ogóle taki ich zryw. Z tym, że nie piętnastolatków tak jak ja, tylko osób w wieku 18-20 lat. Górną granicą wieku, przynajmniej moim oddziale było 30 lat.

Co może nam Pan powiedzieć na temat liczebności swojego oddziału i jego uzbrojeniu? W jaki sposób zdobywano broń? Skąd ona pochodziła? Jaka jej część była zrzutowa i co przeważnie z tych zrzutów pochodziło?

W przeważającej większości uzbrojenie naszego oddziału stanowiła broń zdobyta na Niemcach. Ze zrzutów pochodziła raczej broń krótka. Głównie były to brytyjskie pistolety maszynowe sten. Były najwygodniejsze dla partyzantów. Broń ciężka była głównie niemiecka. Podczas rozbijania posterunków i transportów, zabieraliśmy ją wrogowi i braliśmy do oddziału. Również znaczny procent karabinów i karabinków oraz broni maszynowej, pochodził z „zapasów” przechowywanych przez ludzi. Żołnierze, którzy walczyli we wrześniu 1939 roku, chowali po chałupach swoją broń, a miejscowi ją nam dostarczali. Uzbrojenie było raczej słabe, dlatego akcje jakie przeprowadzaliśmy, były ogromnie ryzykowne - bo nieraz amunicja i broń zawodziły. Być może duże oddziały – bo nasz oddział był mały, liczył 80 ludzi – otrzymywały większe posiłki ze zrzutów, natomiast nasza formacja tak, jak już mówiłem dostawała głównie steny. Wiem, że posiadaliśmy kilka karabinów maszynowych, które były w stanie bardzo dobrym. Zresztą ja byłem przy obsłudze takiego ręcznego karabinu maszynowego. Jednakże ogólnie rzecz ujmując, broń niestety nie była ani liczna, ani luksusowa.

Wracając do zdarzenia, które przyczyniło się do wstąpienia Pana w szeregi partyzanckie: jak Pan myśli, w jaki sposób ten karabin trafił do pańskiej szopy?

Do dzisiejszego dnia jest to tajemnicą. Istnieje kilka wersji. Być może ktoś go celowo podrzucił, aby zniszczyć rodzinę, ponieważ Niemcy poszukiwali ukrytej broni, za przechowywanie której groziła surowa kara. Bardziej prawdopodobna jest jednak hipoteza, że we wrześniu 1939 roku, jeszcze podczas działań wojennych, wycofujący się żołnierz, rozbroił się i zostawił całe uzbrojenie w stodole. Mógł pomyśleć, że jeszcze się przyda. Jednak i to nie jest pewne.

Czy w czasie walk partyzanckich zetknął się Pan kiedyś z oddziałami AK? Czy dochodziło do współdziałania?

Ależ oczywiście. Kontakty między nami były częste, a współpraca bardzo ścisła. Niejednokrotnie dochodziło do wspólnie przeprowadzanych akcji. Najczęściej naszymi towarzyszami broni byli żołnierze ze zgrupowania AK płk. „Satanowskiego”. Działaliśmy w końcu na tym samym obszarze.

Jakie większe akcje przeprowadziło pańskie zgrupowanie? Na czym one polegały?

Przeważnie wykolejaliśmy niemieckie transporty, które przewoziły zaopatrzenie, jak również rozbijaliśmy miejscowe posterunki SS i policji. Jednakże głównym celem, jak mówię, były transporty i konwoje, na których zdobywano co tylko się dało. Zresztą tereny, na których działaliśmy były w ogromnej części opanowane przez oddziały właśnie Batalionów Chłopskich, jak również Armii Krajowej. Jak już wspominałem współpraca między nami była bardzo ścisła, niedaleko nas działało duże zgrupowanie partyzanckie płk. „Satanowskiego”, z którym mieliśmy częste kontakty i od niego też otrzymywaliśmy cześć broni i amunicji.

Czy mógłby nam Pan opowiedzieć o najciekawszej bądź najbardziej nieprawdopodobnej akcji pańskiego oddziału?

Była to zdecydowanie słynna akcja na szosie żerocimskiej, koło Żerocimia. Nasz oddział rozbił wtedy duży transport niemiecki. Kilkunastu Niemców poległo, zdobyliśmy sporo broni i znaczne zapasy amunicji. Myślę, że ta potyczka była najślawniejsza i jednocześnie najbardziej widowiskowa.

Jak oceniałby Pan straty niemieckie w takich akcjach?

Były one bardzo duże, no cóż.... ginęli także i nasi. Wielu moich starszych kolegów poległo, wielu odniosło ciężkie rany, z których się już nie wygrzebali.... W Kolenbrodach zginął w czasie akcji bardzo sympatyczny i koleżeński partyzant ps. „Białuszek”. Tak więc zginęło wielu naszych, ale bez porównania dużo większe były straty wroga.

Czy w pańskim oddziale byli jacyś jeńcy niemieccy? Jak ich traktowano? Co się z nimi stało po zakończeniu działań wojennych?

W chwili, gdy nasza grupa była likwidowana przez Sowieców, jeńców niemieckich mieliśmy w nim tylko dwóch. Jeńcy ci byli traktowani dosyć dobrze, obierali nam ziemniaki i wykonywali różne inne prace, aczkolwiek bardzo uważnie ich pilnowaliśmy. Czy było ich więcej trudno w tej chwili powiedzieć, gdyż przebywałem w oddziale dopiero od kwietnia 1944r., ale zapewne tak. Po likwidacji naszej grupy, Niemcy zostali wzięci przez Rosjan razem z nami. Co się z nimi później stało? Najprawdopodobniej zostali rozstrzelani.

Co się jeszcze tyczy wroga... Czy istnieli w czasie wojny tzw. „dobrzy Niemcy”? Miał Pan

kiedykolwiek styczność z takimi osobami?

No, raczej nie. Jeśli istniały nawet takie kontakty to byłem wtedy za młody i nie dopuszczano mnie do większych tajemnic. Na pewno słyszałem o tym, że byli "zaufani Niemcy", z którymi kontaktowali się koledzy z oddziału, ale powtarzam: wszystko było pod ścisłą tajemnicą. Groziło to bowiem obu stronom ogromnym niebezpieczeństwem. Taki Niemiec poważnie się narażał, gdy dawał jakieś sygnały, czy też nawet były przypadki, kiedy sprzedawał broń kolegom z naszej grupy bojowej. Jednakże jeszcze raz podkreślam, że były to sprawy bardzo poufne i zakonspirowane, o których do dziś niewiele wiadomo.

Ano właśnie, rzecz bardzo ciekawa. Czy zdarzały się sytuacje, kiedy niemieccy żołnierze sprzedawali broń partyzantom?

Zdarzały się, oczywiście, że się zdarzały. Były przypadki zaufanych granatowych policjantów, którzy poszli na służbę okupantowi, zresztą wtedy policji pozostało bardzo dużo. Tak samo sprawa miała się z kolejarzami: robili wszystko żeby utrudnić życie Niemcom, a iść na rękę Polakom. Tak więc było wiele przypadków sprzedaży broni przez hitlerowców członkom ruchu oporu i takie zdarzenia miały miejsce praktycznie wszędzie.

Pytanie z nieco innej beczki. Odkrycie w roku 1943 masowych grobów polskich oficerów w Katyniu, wymordowanych przez Rosjan w kwietniu i w maju 1940 roku było dla wszystkich totalnym szokiem i zaskoczeniem. Czy od początku podejrzewał Pan i wierzył, że tej zbrodni dokonali właśnie Sowieci?

Wierzyłem, zresztą miałem kontakty ze starszymi osobami, które doskonale znały historię i mentalność Sowieców. Nieraz wywiązywała się na ten temat dyskusja, do której nie zawsze byłem włączany, ale miałem możliwość jej posłuchania. Tak więc wierzone w to i tak myślane. Rosjan podejrzewano już od początku. A dlaczego podejrzewano? Ano dlatego, że bitwa warszawska 1920 („Cud nad Wisłą” - przyp. aut.) się bolszewikom nie udała. Stalin miał pomóc Tuchaczewskiemu, gdy ten szedł na Warszawę, ale wstrzymał ją z powodu prywatnych porachunków. To było przyczyną klęski Sowieców. Właśnie za tą haniebną porażkę, Stalin tak mścił się na Polakach i w odwecie m.in. kazał zamordować te kilkanaście tysięcy polskich oficerów w Katyniu. Takie było też nasze oficjalne podejrzenie.

Jak potoczyły się losy pańskiego oddziału w trakcie Akcji „Burza”? Czy w tym czasie doszło do współpracy z Armią Czerwoną? Jak zachowali się Sowieci?

W miesiącu lipcu, w 1944 roku tereny Lubelszczyzny były już zajmowane przez wojska sowieckie. Myśmy o tym wiedzieli, ale jeszcze nie było rozkazu, co z nami będzie. No, bo wiadomo, front był już blisko Warszawy, więc mieliśmy zamiar iść z pomocą stolicy. Jednakże w tym czasie otrzymaliśmy rozkaz od lokalnego dowództwa Armii Krajowej, aby przemieścić się z miejscowości Kolenbrody do Łomaz. W Lesie Kozłowieckim, w rejonie wsi Kozły, natrafiłszy na ekipę funkcjonariuszy NKWD w samochodach, którzy rozpoczęli rozmowę z kapitanem „Marianem”. No i stało się... Zarządzono zbiórkę, podczas której zauważyliśmy, że sytuacja jest już bardzo niebezpieczna. Kapitana i zastępców wzięli do gazika, nas natomiast już prowadził dowódca ruski, kapitan. Doprowadził do Łomaz - tam żeśmy mieli takie tajne zakwaterowanie w szkole. Następnie wydano rozkaz - składanie broni. Złożyliśmy broń w kozły. Żał mi było tego karabinka, z którym musiałem się rozstać, popłakałem się, no ale już człowiek bez broni... Po zbiórce pomaszzerowaliśmy do Białej Podlaskiej - to jest około 20 kilometrów, ale już pod dowództwem radzieckich żołnierzy NKWD. Wtedy wyczuliśmy, że już jesteśmy „niewolnikami”. Zapędzili nas do baraków ponemieckich, gdzie była nasza kwatera.

Wyżywienie dostawaliśmy raz dziennie, plus beczka wody do picia. Od tego momentu byliśmy już pewni, że nastąpi wywózka. Tak też się stało. Po kilku dniach, oficer sowiecki oświadczył nam, że zostaniemy odwiezieni na Majdanek, do Wojska Polskiego. Dał nam również propozycję walki u boku naszych żołnierzy na froncie. Były to jednak tylko puste słowa. Wśród naszego grona był jeden przedwojenny sierżant, który od razu dogadał się z Ruskimi i ostrzegł ich, kto może być niebezpieczny z oddziału. Natychmiast po tym fakcie wywieziono na Sybir m.in. kapitana „Mariana”, który przesiedział tam trzy lata. Widziałem się z nim po powrocie. Mam jego książkę, w której opisuje 3-miesięczny powrót do Polski. Szedł nocami, odżywiał się tylko pokrzywą i korzonkami i w ten sposób dotarł do kraju. Ja natomiast, być może z przemęczenia lub z tego ogromnego przeżycia, dostałem wysokiej temperatury. Stojąc w dwuszeregu, bardzo źle się poczułem i poprosiłem kolegów aby mnie doprowadzili do radzieckiego kapitana. Podtrzymywany przez współtowarzyszy, zameldowałem, że jestem ciężko chory. On popatrzył na mnie takim dość ostrym wzrokiem i po kilku sekundach powiedział: „Pojdziesz na biodnice”. Następnie rozkazał jakiemuś żołnierzowi odprowadzić mnie do szpitala w Białej Podlaskiej. Tam wykryto u mnie zapalenie płuc. Przeleżałem w łóżku trzy miesiące. Gdy wróciłem, dowiedziałem się, że wszyscy koledzy zostali gdzieś wywiezieni. Do dzisiaj od żadnego z nich nie otrzymałem wiadomości. Co się z nimi stało? Nie wiem. Byli, natomiast, też i tacy, którzy pozostali w tym Lesie Kozłowieckim i nie przyszli na zbiórkę. Oni się uratowali. Widocznie przeczuwali jakieś niebezpieczeństwo... Dwóch było z Lublina. Dzisiaj żyje jeszcze jeden, z którym utrzymuję stałe kontakty.

A czy pański oddział nigdy nie spodziewał się jakichkolwiek represji ze strony wojsk radzieckich?

W lecie 1944 roku część starszych kolegów widocznie przeczuwała, że grozi im ze strony Sowietów niebezpieczeństwo i pozostała w lesie. Ci, którzy stanęli na zbiórce, w tym również ja, zostali rozbrojeni i pognani do Białej Podlaskiej. Najprawdopodobniej dowództwo wiedziało już, że ze strony Rosjan czekają nas prześladowania i represje. Natomiast dla nas, dla zwykłych żołnierzy było to kompletne zaskoczenie. Czego jak czego, ale aresztowań i wywozek za walkę o wolny kraj nie spodziewali się.

1 sierpnia 1944 roku wybuchł, zdaniem wielu historyków, najbardziej heroiczny czyn zbrojny w historii ludzkości – Powstanie Warszawskie. Jakie miał Pan osobiste odczucia z nim związane? Co było Panu wtedy na jego temat wiadomo?

No najpierw muszę powiedzieć, że był już nawet wydany rozkaz marszu na Warszawę. Co się stało, że rozkaz został odwołany trudno mi powiedzieć, ale doskonale pamiętam, że mieliśmy iść i brać udział przy wyzwaniu stolicy. W każdym bądź razie to, że nie było prawie żadnej pomocy ze strony armii sowieckiej we wrześniu 1944 r., to wszyscy doskonale wiedzieli. Zresztą gen. Berling chciał pomóc Warszawie, ale nie udało się. Skazano go za to na kilkumiesięczny areszt domowy i odsunięto od dowództwa 1. AWP (Armia Wojska Polskiego – przyp. aut.). Niestety rozkazy sowieckie były takie, żeby powstańcom nie pomagać. A było to sprawą oczywistą – Stalin chciał żeby przy zdobywaniu stolicy nie było udziału Armii Krajowej, tylko zrobiła to Armia Czerwona wraz ze „skomunizowanym” Ludowym Wojskiem Polskim. To była wielka gra, która miała zapewnić komunistom uchwycenie władzy. Przez tą bierność Sowietów we wrześniu 1944r. zginęło jeszcze bardzo wielu ludzi. Aż włos jeży się na głowie...

Jak potoczyły się pańskie losy po powrocie ze szpitala?

Po powrocie ze szpitala do rodzinnej miejscowości, natrafiłem na tzw. trzecią linię frontu. Składała się ona z funkcjonariuszy NKWD, którzy aresztowali resztki ukrywających się w lasach partyzantów. Jako że moja starsza siostra również była w oddziale Batalionów Chłopskich, poinformowała mnie, że NKWD wie o mnie wszystko i chce mnie widzieć, aby zapytać się o niektóre sprawy wojskowe. Oczywiście zapewniali nietykalność, ale siostra mi odradzała tą wizytę. Musiałem ukryć się gdzieś i przeczekać „trzeci front”. Odnalazłem na wsi taką daleką rodzinę i u niej mieszkałem przez pewien okres czasu. Po zaprzestaniu „bepośrednich” prześladowań byłych partyzantów BCh, wróciłem do domu.

A co robił Pan po całkowitym zakończeniu działań wojennych?

Pierwsze lata po wojnie dalej leczyłem się, gdyż przeszedłem poważne choroby. Zapalenie płuc, którego nabawiłem się w czasie okupacji pozostawiło na nich groźne nacieki. Miałem również poważne problemy z kręgosłupem, jego operację przeszedłem dopiero mając pięćdziesiąt kilka lat i gdyby nie ona, to zapewne nie chodziłbym, a jeździł na wózku inwalidzkim. Badania potwierdziły, że przyczyną urazów kręgosłupa było kilkakrotne pobicie mnie przez żandarmów w 1943 r. kiedy to byłem więziony w Jabłoni.

I pytanie ostatnie, bardzo ważne: jakie przeżycie z całej II Wojny Światowej utkwilo w Pana pamięci najbardziej?

Zdecydowanie największym przeżyciem było zabicie na moich oczach tego Żyda w Parczewie. To do dzisiejszego dnia stoi mi przed oczami, nigdy nie wykreślę tego z pamięci. I ten terror-aresztowania, łapanki, wywózki do Oświęcimia... Przecież na naszym terenie był Majdanek - istna katownia, inny obóz śmierci działał w Sobiborze i te liczne mordy na ludności cywilnej. Rozumiem - wojna - giną żołnierze i jednej i drugiej strony. Ale to byli zwyczajni cywile - niewinni ludzie. Te rzeczy najbardziej utkwily mi w głowie. Nigdy tego nie zapomnę.....

Dziękujemy za rozmowę.